

Człowiek orkiestra

„Pisarzem Pan jesteś” – przeczytał na fiszce, którą dostał od Anatola Ulmana, w odpowiedzi na przesłany do niego rękopis swojej książki. Ratuje gazety i jako socjolog udziela rad na temat wyboru mebli. Jest PR-owcem, dziennikarzem, motocyklistą-pasjonatem. Między innymi. O tym, co robił, robi i będzie robić, opowiada nam Jarosław Gibas.

Siedzimy wszyscy, tzn. dr Gabrysia Łęcka, która zdradza nam tajniki wywiadu, i my, studenci podyplomowych studiów dziennikarskich, w jednej z sal Uniwersytetu Śląskiego. Czekamy na naszego gościa. Trochę to już trwa, więc jesteśmy lekko podenerwowani. Nagle otwierają się drzwi sali. Wchodzi mężczyzna ubrany w wojskowe spodnie, polar, a na głowie ma czapeczkę z daszkiem. Jest uśmiechnięty i rozluźniony. Myślę sobie: robi dobre wrażenie, powinno być w porządku.

Skąd pomysł na książkę?

Którą?

„Śląsk pełną gębą”

Tak naprawdę to nie ja byłem pomysłodawcą tej książki. W 2000 albo w 2001 roku, teraz już dokładnie nie pamiętam, dostałem propozycję z „Gazety Wyborczej” w Katowicach, aby napisać książkę o śląskich knajpach. Dotychczas, raz w tygodniu, tworzyłem rubrykę pod nazwą „Pełną gębą”. Po trzech latach zwróciło się do mnie wydawnictwo z propozycją, aby zebrać te wszystkie felietony w jedną książkę. Następnie ją wydało. I tyle.

Napisał pan książkę pt. „Gniazdo aniołów” w 1995 roku. Jakie to uczucie wydać pierwszą książkę? I czy pamięta pan recenzje, które się ukazały na jej temat?

Pamiętam jedną recenzję. Była przekomiczna i nie pozostawiła na mnie suchej nitki. Została napisana w redakcji, w której wówczas pracowałem – byłem redaktorem działu poświęconego teatrowi w kwartalniku „Opcje”. Moi wspaniali koledzy od literatury postanowili zlecić napisanie recenzji mojej książki bardzo młodziutkiemu studentowi. Wiadomo, że każdy młody student chce się wykazać, więc kiedy dostaje szansę napisania recenzji, musi taką książkę po prostu „zjechać na maxa”, „dowalić” – po prostu udowodnić, że tak można. Młody student zmieszał mnie więc z błotem. Czy słusznie, czy niesłusznie – nie mnie oceniać. Pamiętam do dzisiaj jedną sytuację, która wiązała się z tą historią. Staliśmy razem w windzie i jechaliśmy na trzecie piętro. On wiedział, że ja wiem. Bardzo chciało mi się śmiać, kiedy wciskał się z całych sił w kąt windy. Oczywiście wytrzymałam i nie odezwałam się ani słowem.

Jakie uczucie towarzyszy wydaniu książki? No cóż, jest to niesamowita frajda! Mamy świadomość, że ona już będzie na zawsze, że leży na półce, i że nikt nie może nam jej odebrać. No bo jak można komuś odebrać książkę? Niezależnie od tego, czy się skończy jako pastuch owiec w Nowej Zelandii, czy ktokolwiek inny, ta książka po prostu już jest. Zawsze będzie. To piękne uczucie. Polecam Państwu: kupujcie książki, wydawajcie je, bo to jest super sprawa!

Ostatnią książkę wydał Pan w 2005 roku. Czy jeszcze uda nam się usłyszeć o Jarosławie Gibasie-pisarzu? Czy planuje pan coś jeszcze?

Odpuściłem sobie pisanie w 2005 roku z powodu... dziennikarstwa. To był bardzo dziwny rok. Kiedy dzisiaj pomyślę, ile wówczas pisałem, to jestem przerażony. Miałem swoją kolumnę i felietony w „Trybunie Śląskiej”, a także mnóstwo felietonów w różnych magazynach. Wszystkie były zakontraktowane, zapłacone, więc musiałem je napisać! To spowodowało, że pisanie książek zeszło na drugi plan. Ale oczywiście cały czas o czymś myślę, coś planuję, chociaż teraz... a co będę gadał.

A o czym pan myśli? O motorach?

O motocyklach. Proszę się nie gniewać, motory są w kosiarce...

Przepraszam.

Proszę (uśmiech). O motocyklach? Tak, to moja pasja!

A propos motocykli. Jak długo się pan nimi interesuje? Jak się pan w to w ogóle „wkręcił”?

Pierwszego Komarka dostałem w prezencie od mojego ojca na trzynaste urodziny. Wkręciłem się więc w to dość dawno (uśmiech). Jednak przychodzi taki moment w życiu dorosłego faceta, kiedy zaczyna się już troszeczkę odpuszczać. Dotyczy to kariery zawodowej i codziennej szarpaniny o pieniądze. Nabiera się po prostu ochoty na coś więcej. Są tacy, którzy wybierają kolejkę i wówczas kupują wagoniki. Są tacy, którzy wolą kochankę – chociaż kochanka, oczywiście, wychodzi najgorzej (śmiech). A są i tacy, którzy wybierają motocykle – ja wybrałem motocykle. I czuję się z tym po prostu super.

Gdyby miał pan dzisiaj dwadzieścia lat, wybrałby pan ponownie zawód dziennikarza?

Nie.

Dlaczego?

Bo dzisiaj już wiem, że zawód dziennikarza polega na tym, że pracuje się po 12 godzin na dobę, zarabia się bardzo mało i jest się narażonym na nienawiść sąsiadów. Musiałbym być kretynem albo po prostu mieć nieprawdopodobne powołanie do tego zawodu, aby go wybrać jeszcze raz. Sam nie wiem, czy mam powołanie do dziennikarstwa. Wiem jednak, że lubię robić gazety. Bardzo. Ale... dziennikarstwo to niezmiernie męczący zawód, który bardzo poważnie i bardzo szybko potrafi wypalić człowieka. Miałem okazję obserwować to zjawisko w wielu redakcjach. Przychodzili do nich młodzi ludzie z niesamowitymi pomysłami. Jednak z roku na rok w takich młodych osobach, które przecież tak bardzo pragnęły zostać dziennikarzami, powoli te pomysły usychały, a zaangażowanie malało. Jeśli, nie daj Bóg, pracuje się w dzienniku i pisze po cztery, pięć tekstów dziennie, z których trzy lądują w koszu i nigdy się nie ukazują, to ten moment wypalenia przychodzi bardzo szybko. Takim dziennikiem jest „Gazeta Wyborcza”. Człowiek albo bardzo szybko w niej awansuje, albo się dramatycznie wypala. I taki jest ten zawód. Gdybym miał dzisiaj dwadzieścia pięć lat, to na pewno zostałbym motocyklistą. Nie czekałbym do czterdziestki!

A jakie są zarobki miesięczne dziennikarzy?

O matko, śmieszne! Nie orientuję się dokładnie, ile obecnie zarabia dziennikarz. Stawki różnią się w zależności od tytułu. To jednak na pewno nie są kokosy. Jeszcze do niedawna wierszówka w „Gazecie Wyborczej” wynosiła 13 zł. Tylko tyle proponuje się za napisanie naprawdę dużego tekstu, do którego trzeba się solidnie przygotować i zebrać materiały. Startując w zawodzie dziennikarza musimy rozważyć, co tak naprawdę chcemy robić. Jeśli zawód dziennikarza ma się wiązać z osiąganiem kolejnych szczytów – to warto się zdecydować. Natomiast jeśli nie jest się osobowością predestynowaną do robienia kariery, to lepiej odpuścić. Stąd w latach 90. wielu dziennikarzy zostało kierowcami.

Ale się smutno zrobiło. Odpowiadam jeszcze raz na to pytanie: tak, chciałbym zostać dziennikarzem!

Robił pan wiele rzeczy, które nie były powiązane z dziennikarstwem. Jakie?

Moją specjalizacją nie jest dziennikarstwo, ale „liftowanie” tytułów prasowych. To bardzo wąska specjalizacja, która w moim przekonaniu jest nieprawdopodobnie ciekawa. „Liftingu” dokonuje się przy użyciu bardzo specjalistycznych narzędzi. Pracuje się nad takim tytułem prasowym, który z jakichś powodów nie jest po prostu fajny. Próbuje się dociec, dlaczego czytelnicy mniej cenią daną gazetę, rzadziej biorą ją do ręki lub w ogóle nie chcą wydawać na nią pieniędzy. Szuka się odpowiedzi na pytanie, co powoduje, że jedna gazeta jest fajna, a inna nie. Dlaczego używam słowa „fajna”? Ponieważ właśnie w ten sposób postrzega

gazetę czytelnik. On nie jest specjalistą od mediów, *layoutu* prasowego czy projektu redakcyjnego. Czytelnikowi albo podoba się dana gazeta, albo się nie podoba – i już. I to mnie właśnie kręci do dzisiaj. Wcześniej dokonywałem „liftingu” gazet jako Media Consulting Group. Dzisiaj, w mojej jednoosobowej firmie, gdyż przyszedł kryzys i trzeba było ciąć koszty.

Powróćmy jeszcze do tematu pisania książek. Czy przed napisaniem ich robił pan rozeznanie rynku? A może po prostu miał pan wenę, napisał, a potem dopiero szukał wydawców?

Mam na koncie stosunkowo mało książek, więc raczej nie odczuwałem potrzeby robienia *researchingu*. Moją pierwszą książkę napisałem, kiedy miałem 25 lat. Byłem kompletnie nieświadomy tego, że ktoś może ją kiedykolwiek wydać. Po czym, zupełnie na „bezczela”, wysłałem ją do mojego ulubionego pisarza, Anatola Ulmana. Uważam go za jednego z największych polskich autorów, jeśli nie największego. Napisał w latach 80. kilka skandalicznych powieści. Zadebiutował w wieku 50. lat książką „Cigi de Montbazon”, która zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Dwa tygodnie później przyszła tak wyczekiwana przeze mnie recenzja – w dodatku bardzo pozytywna, napisana jeszcze na maszynie! Anatol Ulman dołączył także małą fiszkę, na której było odręcznie napisane: „pisarzem Pan jesteś”. To był jedyny list, jaki kiedykolwiek do mnie napisał. Pomyślałem sobie, że wyślę mój rękopis do kilku wydawnictw. Część z nich go odrzuciła, ale jedno, wydawnictwo „Przedświt”, udostępniło go czasopismu literackiemu „NaGłos”. Wiąże się z tym ciekawa i zarazem śmieszna historia. Redakcja czasopisma „NaGłos” akurat w tym czasie przygotowywała numer poświęcony Śląskowi, dlatego też chciała opublikować w nim teksty śląskich prozaików. Oczywiście szukała ich wszędzie, tylko nie na Śląsku! Zwróciła się więc do wspomnianego już wcześniej wydawnictwa „Przedświt”, którego siedziba mieściła się w Warszawie. Jeden z moich rozdziałów znalazł się więc w tym śląskim numerze czasopisma „NaGłos”. Niedługo potem wydawnictwo z Gdańska zgłosiło się do mnie z propozycją wydania mojej książki. I tak to się potoczyło.

Czym się pan nigdy nie zajmie?

Trudne pytanie, bo ja się wszystkim interesuję. To jest coś niesamowitego! Jest jeszcze tyle różnych, fajnych rzeczy, które chciałbym zrobić. Życie jednak jest zbyt krótkie, aby je wszystkie zrealizować. Z drugiej strony, mam bardzo negatywną przypadłość – szybko się nudzę. Robię coś przez 2 lata i już bym coś pozmieniał.

Czego jednak bym w życiu nie chciał robić? Nie ma chyba takich zajęć, które wydawałyby mi się nudne, może z wyjątkiem donosicielstwa (śmiech). Jest taka ezoteryczna

teoria, zgodnie z którą przychodzimy na świat po to, aby się uczyć i zdobywać doświadczenie. Nieważne jest to, czy zrobimy wielką karierę, zarobimy mnóstwo pieniędzy, zyskamy ogromną popularność. W związku z tym, cokolwiek nam się w życiu przydarza: pasjonujemy się czymś, osiągamy wielki sukces finansowy, czy wręcz przeciwnie – bankrutujemy – wszystko to nie dzieje się bez przyczyny.

Czy pana zdaniem można pogodzić pracę na etacie, taką „od do”, i dziennikarstwo?

Jest to bardzo trudne do pogodzenia, ale... jest coś takiego, co Amerykanie nazywają *czasem wilka*. To okres, który trwa, mniej więcej, od 25-35 roku życia. Te 10 lat. Jeśli więc mógłbym udzielić rady młodym ludziom, to jest właśnie ten czas, kiedy warto zaryzykować w swoim życiu. Im jesteśmy starsi, im więcej lat nam przybywa, tym mniej nam się chce. Czas wilka jest po to, abyśmy walczyli, darli szaty, rywalizowali, kupowali mieszkania, domy, samochody – abyśmy się „ustawiali”. Po przekroczeniu magicznej „czterdziestki” naprawdę przestaje nam się cokolwiek chcieć. Kiedy więc przychodzi do mnie taki młody wilczek i się szarpie, ja na niego patrzę z politowaniem i myślę sobie: no chodź...